Nr. 17. We Lwowie dnia 23. kwietnia 1894. Rok II.



Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.



GODIWA.

ALFREDA TENNYSONA.

»Niedawnom czekał w Coventry na pociąg;
wsparty na moście, z groomem i lokajem,
i wpatrzon w smukłe trzy wieżyce miasta,
tak jego dawną streściłem legendę:

*

Nie my jedyni, ostatni siew czasu,
ród ludzi nowych, co, tocząc się kołem,
chce zgłuszyć przeszłość — o, nie my jedyni,
co o bezprawiu krzyczym i o prawie,
lud miłujemy, pieniąc się, gdy zbytnie
gniecie go jarzmo podatków; lecz ona
zrobiła więcej i cierpiała więcej,
przed lat tysiącem żyjąca niewiasta,
Godiwa, żona surowego hrabi,
pana Coventry. Bo gdy ten daniną
gród swój obłożył, kiedy matki z dziećmi
jękły: »Umrzemy, jeśli płacić trzeba«,
poszła go szukać i, wraz z psów gromadą,
znalazła męża w komnacie, samego,
z brodą na przodzie długą na dwie stopy
i z włosem w tyle na łokieć. Opowie
o łzach ujrzanych, prosząc temi słowy:
»Umrę, jeżeli będzie płacić trzeba«.
On, wpół zdumiony, odrzecze jej na to:
»Nie zechcesz chyba narazić małego
palca dla t a k i c h?« Ona: »Skończę nawet«...
Śmiał się i klął się na Piotra i Pawła,
ciągnąc za kolczyk jej djamentowy:
»Hej! hej! co mówisz?« — »Ach!« — wyjęknie ona —
»czegoż je dla nich nie uczynię! spróbuj!«
I jak Ezawa dłoń, z szorstkiego serca,
on jej odpowie: »Przejedź nago miasto,
a ja odwołam«... I z wyrazem wzgardy
wielkimi kroki odejdzie ze sforą.

*

Gdy była sama, namiętności duszy,
jak te z przeciwnych stron wiejące wiatry,
toczyły walkę z sobą przez godzinę,
aż zwyciężyła litość... I, posłańca
śląc, przy trąb dźwięku obwieścić mu każe
twardy warunek; lecz że zbawić pragnie
lud, tak na wszystką zaklina go miłość,
niech do południa na ulice miasta
żaden nie stąpi krok ani też żadna
wyjrzy źrenica, lecz, ażeby wszyscy,
gdy ona będzie przejeżdżać, zostali
w domu, zawarłszy drzwi, zamknąwszy okna.

*

Potem się schroni do wnętrza komnaty
i pas o spinach z orłami odpasze,
srogiego hrabi podarek; lecz każdy
wstrzymuje oddech, jak ten księżyc blady,
gdy letniej nocy, na wpół przysłonięty,
z za chmur spogląda. Potem strząśnie głową
i aż do kolan rozpuści kędziory;
sama się spiesznie rozbierze i, chyłkiem
zbiegłszy ze schodów, filar za filarem
mija, jak promień słoneczny, aż wreszcie
dobiegnie bramy, gdzie jej rumak czeka,
strojny w purpurę i złociste herby.
Potem popędzi, naodziana wstydem...

Powietrze w okół słucha z tchem zamarłym,
gdy ona pędzi; wiatr się nie odważy,
widać ze strachu, powiać choć najciszej.
Małe rynw główki, otwarłszy swe paszcze,
patrzą źrenicą chytrze uśmiechniętą.
Gdy pies zaszczeknie, na jej twarz wystąpi
płomień rumieńca: tętent kopyt końskich
rozbudza grozę w jej żyłach; mur ślepy
straszy szczerbami; dachów fantastyczne
szczyty nad głową drętwieją; lecz ona
nie wstrzyma biegu, aż ujrzy na polu
krzak bzu, płonący białym puchem kwiecia
przez łuk gotycki, wzniesion ponad murem.

*

Potem się wróci, naodziana wstydem,
a jeden nędznik, twór niewdzięcznej gliny,
ohyda czasów, które idą po nim,
wyżłobił, drżący, mały otwór w murze,
aby ją ujrzeć; lecz oczy, nim była
chęć ich spełnioną, ogarnęła ciemność:
zgasły na zawsze. Tak moc ta, co chroni
czyny szlachetne, ukarała oto
zmysł nadużyty... Ona, nic nie wiedząc
popędzi dalej... Wtem naraz dwunasta
z stu wież na okół bezwstydne południe
zacznie wydzwaniać i wybijać — jedno
po drugiem straszne uderzenie. — Ona
właśnie do swojej dobiegła komnaty,
a potem w sukni i koronie poszła
do swego pana i zniósłszy podatek
wieczyste sobie zgotowała imię...«

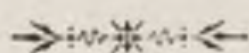
Przełożył Jan Kasprowicz.



Rok 1848 w Krakowskiem i w Galicji

przez

Bolesława Limanowskiego.



II.



Członkowie »Towarzystwa Demokratycznego Polskiego«, którzy przybyli do Krakowa i Galicji, odwracali uwagę od Wiednia ku temu, co się działo w księstwie Poznańskiem. Tam utworzyła się już znaczna armja polska, która szybko się powiększała tłumnie śpieszącymi w jej szeregi włościanami, licznymi zbiegami z wojska pruskiego i gromadnie przybywającą młodzieżą z Królestwa kongresowego. Spodziewano się, że lada chwila nastąpi jej wkroczenie do granic Królestwa, a wówczas cały obszar kraju aż po Wisłę byłby odrazu zyskany dla powstania, ponieważ słaba załoga rosyjska, przed otrzymaniem posiłków, nie mogła myśleć o skutecznym oporze i musiałaby się zamknąć w samej Warszawie. W tym ruchu pomoc Galicji, a zwłaszcza zachodniej, miała ogromne znaczenie. Niespodziewane okoliczności czyniły możliwem uskutecznienie planu strategicznego, który został nakreślony dla powstania 1846 r. Druga połowa marca przedstawiała od powstania 1830 r. najpomyślniejszą dla nowej sprawy chwilę. Niestety, zmarnowano ją na dyplomatyzowaniu z rządami: berlińskim i wiedeńskim. Konwencja Jarosławiecka, zawarta 11. kwietnia pomiędzy komitetem poznańskim i rządem berlińskim, wstrzymała rozwój rewolucji nie tylko naszej, ale i europejskiej. Było to pierwsze ważniejsze zwycięstwo reakcji.

Pomiędzy przybyłymi emigrantami szczególnie wyróżnić wypada Leona Zienkowicza i Wiktora Heltmana. Pierwszy żywo przedstawiał konieczność organizowania się, drugi z całem oddaniem się zajął sprawą włościańską.

Przedstawienia Zienkowicza w Krakowie poskutkowały. Rozwiązany komitet zwołał na dzień 5. kwietnia zgromadzenie obywateli, i na niem wybrał nowy komitet, który z taką stanowczością zażądał potwierdzenia swego od Kriega, że ten nie mógł się temu oprzeć. Kiedy z okien starosty ogłoszono o tem tłumnie zgromadzonemu ludowi, objawiał on swoje zadowolenie okrzykami: »Niech żyje Polska! niech żyje braterstwo ludów!« Komitet ten już dla tego, że był zanadto liczny, wiele rozprawiał, ale stosunkowo mało robił. Nie zdobył się on na rewolucyjne postanowienie samoistnego rozcięcia węzła gordyjskiego najważniejszej podówczas sprawy, jaką było zniesienie poddaństwa i pańszczyzny. Chciał skłonić właścicieli ziemskich, ażeby oni sami to uczynili, i w tym celu wydał do nich odezwę, napisaną przez Heltmana, i rozesłał po całym kraju swoich pełnomocników, którzy mieli osobiście wpłynąć na przyśpieszenie

załatwienia tej sprawy. Agitacja, szczególnie przez młodzież akademicką wspierana, rozwinęła się ogromnie. Pojawiały się liczne pisma ulotne wierszem i prozą, odzywające się i do serca i do rozumu szlachty, a dla ułatwienia jej samego aktu, rozesłano wszystkim posiadaczom ziemskim gotowe już formularze zrzeczenia się. Odezwa komitetu, przedstawiając, że wymierzenie sprawiedliwości ludowi jest kwestją pierwszej wagi dla całej bez wyjątku Polski, zaklinała właścicieli ziemskich, ażeby ze względu na własne bezpieczeństwo i interes narodowy, nie ociągali się z wielkiem dziełem usamowolnienia i uwłaszczenia włościan. Na spełnienie wielkiego tego czynu wyznaczono dzień Wielkiejnocy, która przypadała w owym roku 23. kwietnia.

Najgorliwiej jeszcze zajmował się komitet organizowaniem i uzbrojeniem gwardji narodowej. Kriegowi mocno się nie podobała ta czynność, przeszkadzał też jej rozmaitymi sposobami, chociaż nie szczędził obietnic dostarczenia broni. Obłudne to postępowanie wywołało rozjątrzenie ludu, które objawiło się w napadzie na mieszkanie starosty. Krieg, widząc bezwładność swoją, złożył urząd, a jenerał Castiglione, połączywszy 21. kwietnia w swem ręku obie władze: wojskową i cywilną, nakazał rozbrojenie gwardji narodowej. Postępowanie to było swawolą dawnych absolutystycznych rządów i zostało w lipcu w parlamencie wiedeńskim przez ministra Doblhofa zganione.

Rozkazu dowódcy austrjackiego nie usłuchano. Przeciwnie, gwardja narodowa stanęła pod bronią, ludność przybyła jej na pomoc, wzniesiono barykady, i rozpoczęła się utarczka na ulicach.

Z naszej strony padło 29., ale i Castiglione, poniósłszy znaczne straty, musiał się cofnąć z miasta do zamku. Rozgniewany, wydał rozkaz bombardowania miasta. Trwało to przez dwie godziny, chociaż wielkich szkód nie zrządziło. Tymczasem Moltke, któremu odcięto odwrót do zamku, i który ze swoim oddziałem został osaczony, obiecał pośredniczyć o zaprzestanie bombardowania, skoro mu pozwolonem zostanie swobodnie odejść. Istotnie zaprzestano bombardować miasto, lecz Moltke wróciwszy, zażądał kapitulacji onego. Rozpoczęły się długie układy, przyczem Moltke groził przybyciem Moskali na pomoc i pokazał nadesłane o tem zawiadomienie. Podpisano wreszcie 27. kwietnia kapitulację, na mocy której wszyscy emigranci obowiązani byli wyjechać za granicę państwa austrjackiego, istniejący komitet miał się rozwiązać, i nie wolno było tworzyć nowego aż do nadejścia decyzji ministra z Wiednia, oraz wszyscy mieszkańcy, a szczególnie gwardziści narodowi obowiązani byli złożyć broń. Emigrantów większą część wywieziono za granicę, lubo wielu udało się do Galicji i tam rozsypało się po całym kraju. Pogrzeb poległych odbył się 29. kwietnia z wielką okazałością przy współudziale ludności całego miasta i sąsiednich okolic. Kraków był pierwszem zbombardowanem miastem w monarchji austrjackiej; następnie uległy temu losowi: Praga, Wiedeń i Lwów. Po konwencji Jarosławieckiej, było to drugie ważne zwycięstwo reakcji europejskiej. Polsce wiązano ręce, by nie mogła nieść sztandaru rewolucyjnego dalej ku północnemu wschodowi.

Franciszek hr. Stadion zrozumiał, że chcąc rządzić, nie może się opierać na samej biurokracji i wojsku, ale musi sobie zjednać w samej ludności krajowej pewną pomoc. Połączony węzłami powinowactwa z arystokracją polską, zamierzył zapewnić jej wpływ na wypadki przez zwołanie sejmu stanowego, rozszerzając tylko nieco przedstawicielstwo miejskie. Gubernjum ogłosiło o zwołaniu sejmu 11. kwietnia na dzień 26. Mogło to być — jak mniemało wielu ze szlachty — dobrym początkiem rozwoju nowych instytucji. Adam Potocki i Leon Rzewuski jeszcze w końcu marca objawiali to zdanie, że sejm, zebrawszy się powinien był natychmiast rozwiązać kwestję włościańską, lecz będąc złożony z jednej tylko części narodu, miał się rozwiązać, jako nieumocowany do dalszych czynności i przedstawić do cesarza petycję »o zastąpienie sejmu zgromadzeniem narodowem, do którego wchodziłyby, na zasadzie wyborów, wszystkie istniejące części Narodu: obywatelstwo, miasta i gromady«*).

Stronnictwo patrjotyczno - demokratyczne, znając dobrze skład sejmu stanowego, obawiało się, że Stadjon znajdzie w nim sprzymierzeńca, który może i zezwoli na pewne reformy, ale w każdym razie postara się o to, by zapewnić przewagę zamożnej szlachcie, i stanie się organem, tamującym rozwój rewolucji. Starało się więc niedopuścić do jego zwołania, a zanim nie zgromadzi się istotne przedstawicielstwo narodu, powołać do życia tymczasowe demokratyczne jego zastępstwo. Zebrani więc we Lwowie 13. kwietnia »liczni ziemianie, obywatele miasta Lwowa i młodzież akademicka wywołali dwadzieścia i dwa imion ludzi, których to tymczasowo, nim na drodze legalnej wybory nastąpić będą mogły», obdarzyli swojem zaufaniem i polecili im, »działanie wszystkiego, czego dobro kraju wymaga i położenie obecne a nadewszystko, coby nasz adres z 18. marca i podanie Deputacji naszej w połączeniu z Krakowską poprzeć mogło.«**) Zastępstwo to tymczasowe przybrało nazwę Rady Narodowej. Do składu jej weszli: katolicy, unici, protestanci i żydzi; właściciele ziemscy, księża, adwokaci, rzemieślnicy, profesorowie i akademicy. Z wybitniejszych jej członków nazwiemy: Mieczysława Darowskiego, Ty-

*) Jutrzenka (N. 10, 1. kwietnia 1848 r.)

**) Manifest Rady Narodowej.

tusa Dzieduszyckiego, Aleksandra Fredrę, Henryka Jankę, Józefa Kabata, Seweryna Smarzewskiego, Piotra Grossa, Franciszka Smolkę i Roberta Heferna. Jan Dobrzański został redaktorem dziennika »Rada Narodowa«, która później przeobraziła się w »Gazetę Narodową, i która w pewnym względzie przedstawiała opinję większości tymczasowego przedstawicielstwa narodowego.

Zaraz po zawiązaniu się, Rada Narodowa zawezwała wszystkich obywateli w Galicji, ażeby po obwodach zawiązywali rady obwodowe, a sama przybrała nazwę Centralnej, w ten sposób obejmując moralną władzę nad całym krajem.

Jednym z pierwszych jej czynów, była odezwa z dnia 17. kwietnia do właścicieli dóbr ziemskich o zniesienie powinności poddańczych i pańszczyzny. Popierając odezwę komitetu krakowskiego, odwoływała się ona do uczucia patrjotycznego szlachty. »Niech dzień Zmartwychwstania Zbawiciela — powiadała ona — będzie oraz dla nas dniem narodowego zmartwychwstania i zbawienia«; niech wielki ten dzień zwiastuje ludowi po wszystkiej polskiej ziemi, »iż wraz z odradzającym się narodem polskim, pękają jego odwieczne kajdany«.

Rozwiązanie doraźne kwestji włościańskiej, które w pierwszej chwili zapału nie napotkałoby silnego oporu, stawało się z biegiem wypadków coraz trudniejsze. Pierwsze utrudnienia wyszły z Wiednia, a ośmielone tem ziemiaństwo poczęło się odzywać, że tak ważna reforma ekonomiczna potrzebuje czasu i rozważnego jej wykonania. Niewielka tylko liczba właścicieli ziemskich poszła za wołaniem patrjotycznem. Jednym z pierwszych był Władysław Sanguszko z Tarnowa. Obiegający wierszyk w dniach marcowych p. t. »Jeszcze głos żydka do wieśniaków, czyli jak Mośko radzi?« — powiadał:

»Darował pańskie już pan Wiesiołowski,
Pani Winnicka, pan Leon Dzwonkowski,
Pan Dzieduszycki Kazimierz z Niesłuchowa
I tylu innych...«

»Tylu innych« — niestety, nie musiała być wielka liczba. Wiemy jeszcze tylko o Henryku Kurdwanowskim, Henryku Jance, Leonie Rzewuskim, Adamie Potockim i Wiktorze Wiśniewskim. Mamy jeszcze wiadomość, że w cyrkułach: bocheńskim i wadowickim ogłoszonem zostało zniesienie pańszczyzny w dniu św. Wojciecha.

Zapobiegając temu, ażeby szlachta nie poszła za przykładem swych współziemian patrjotów, rozporządzenie rządu wiedeńskiego z dnia 5. kwietnia dozwoliło to uczynić tym tylko, co mieli dobra zupełnie czyste od długów. Minister de Pillersdorf, ktorego umiarkowany liberalizm był tego samego gatunku co i Stadiona, pospieszył zapobiedz i możliwemu wystąpieniu w tej sprawie komitetów, oraz ośmielić ziemiaństwo do oporu. W odpowiedzi na przedstawione cesarzowi podanie, przesłał on 13. kwietnia na ręce księcia Stanisława Jabłonowskiego następujące oświadczenie:

»Co się tyczy punktu, odnoszącego się do regulacji stosunków poddańczych, muszę WW. MM. Panów uczynić uważnemi, że nikt nie ma prawa rzecz jakową, która nie jest jego własnością darować albo odstąpić. Dla tego też i Komitetowi w Krakowie, który nie wyszedł z wyboru wszystkich obywateli posiadaczów ziemi, i który nie jest opatrzony ichże upoważnieniem do podobnego aktu, nie może być nadane prawo orzekania w cudzem imieniu zniesienia pańszczyzny i udzielenia własności gruntów włościańskich«.

Wbrew jednak temu, co sam pisał, w obawie, że szlachta galicyjska może się dać porwać szlachetnemu zapałowi i w dniu Zmartwychwstania rozkuje odwieczne kajdany włościaństwa, już w dniu 18. kwietnia, a może w pięć dni po powyższej odpowiedzi, kazał ogłosić, że »wszelkie robocizny pańszczyźniane i inne z dawniejszego stosunku poddańczego wynikłe daniny włościańskie znoszą się za wynagrodzeniem w swoim czasie wymierzyć się mającem na koszt rządu«, i że znoszą się one od 15. maja. Szlachta zawstydzona i upokorzona krzyczała na wiarołomstwo rządu wiedeńskiego i usprawiedliwiała się przed patrjotami, że zwlekała ze spełnieniem woli narodu do ukończenia robót wiosennych. Zaznaczała przytem, że sam reskrypt cesarski datowany 17. kwietnia, w motywach swoich przyznawał się do tego, że się powodował życzeniem posiadaczy dóbr ziemskich. Wypada jeszcze tutaj nadmienić, że poddaństwo i połączone z niem powinności zostały zniesione w całej monarchji austrjackiej dopiero 9. września, wskutek uchwały sejmu konstytucyjnego, na wniosek Ślązaka Jana Kudlicha.

Reskrypt Ferdynanda I. z dnia 17. kwietnia, stanowiący, że »wszystkie robocizny i inne poddańcze powinności tak gospodarzy gruntowych, jakoteż chałupników i komorników ustać mają z dniem 15. maja«, właściwie orzekał, że własność włościańska przestaje być zależną od dominjów szlacheckich, ale nie rozstrzygał, czy ta własność ma być indywidualna, czy też gromadzka. Demokraci i za ich głosem idąca Rada Narodowa od samego początku oświadczyli się za uwłaszczeniem włościan, czyli za indywidualną własnością. Lecz byli i zwolennicy gromadzkiego władania ziemią.



Henryk Pillati.

Wspomnienie*).



Tak szeroko rozwinięte obecnie malarstwo nasze ma dotychczas historję nadzwyczaj krótką. Genezy jego nie należy szukać na kartach dziejów wieków minionych, gdyż one mają zapisanych na sobie zaledwie kilka wybitniejszych nazwisk artystów, których istnienie zawdzięczamy raczej przypadkowi, niż wynikom prawidłowego rozwoju sztuki.

Renesansem malarstwa polskiego, można rzec śmiało, jego samoistnem zaraniem, była epoka, oddzielona od naszej zaledwie czterema do pięciu dziesiątkami lat. Równocześnie prawie na horyzoncie wszechświatowej sztuki zjawia się pierwszorzędny mistrz pendzla, Rodakowski, odnosząc tryumfy w Paryżu, a u nas w kraju, w skromniejszych rozmiarach zaczynają swą działalność młodzi naówczas malarze, owiani duchem samodzielnych aspiracji, czujący potrzebę stworzenia sztuki i rozwinięcia jej w następstwie.

Nie widzę potrzeby szczegółowiej zastanawiać się nad artystami, którzy epokę ową uświetnili swemi nazwiskami, wspominam o tym pewnego rodzaju kardynalnym przewrocie w historji naszej sztuki dlatego tylko, iż pragnąłem choćby kilku słowami opisać tło, na jakiem wystąpił na arenę publiczną, zmarły przed kilku dniami Henryk Pillati.

Imię Pillatiego, zjawia się wśród młodej rzeszy, widnieje ono w pierwszym szeregu, pierwszego pokolenia malarzy. W szeregu tym powinien pozostać, tembardziej, że karjerę artystyczną wcześnie bardzo zaczętą, wcześniej też od wielu ze swych rówieśników ukończył.

Henryk Pillati urodził się w Warszawie w r. 1832. Bardzo młodo poświęciwszy się malarstwu, uczęszczał na wykłady b. szkoły sztuk pięknych przez czas jakiś, później wyjeżdżał kilkakrotnie do Paryża. Powróciwszy do Warszawy, zamieszkał w niej stale i tylko przed laty kilkunastu opuścił ją, udawszy się do Petersburga, gdzie przez dłuższy przeciąg czasu przebywał. Gdy powrócił, dawna energja i siła twórcza znikły, rozwijająca się choroba destrukcyjny swój wpływ coraz szybciej na organizm jego wywierać zaczęła. Ostatnie lata, była to walka wątłego ciała z cierpieniem, śmierć zbliżająca się powolnie, ale stanowczo. Zmarł w d. 14. b. m.. zapomniany poniekąd, zdala od ruchu i świata, pogrążony oddawna w cieniu niewiadomości.

Henryk Pillati należał do owych artystów, których określają wyrażeniem z »Bożej łaski«. Miał talent, i to niepośledni, wrodzony, szczery, który zastępował u niego studja i wiedzę szkolną. Brak wykształcenia specjalnego maskując zręcznością i instynktownem poczuciem miary artystycznej, tworzył obrazy, które wszakże właściwiejby było szkicami nazywać. Tworzył je pamięciowo, bez użycia bezpośrednio natury, ufny w siłę swej wyobraźni, w zdobytą zręczność wykonawczą. Dyletantyzm pracy jego oddziałał szkodliwie na wartość jego utworów, piękne to były, często bardzo piękne improwizacje, jednak w których czuć się dawał brak wykończenia i podkładu realnego.

Największe znaczenie obrazy Pillatiego będą miały jako popisy kolorystyczne. Był on kolorystą niepoślednim, bardzo oryginalnym; w kolorze dochodził do wirtuozostwa.

Sferą działalności malarskiej Pillatiego były przedewszystkiem sceny bojowe i rodzajowe. Krajobraz, człowiek, koń, wnętrza lub budynki, wchodziły jako składowe części do wszystkich jego obrazów. Świat, stworzony wyobraźnią jego, był mało urozmaicony, postaciom i ruchom tychże brakło często tej prawdy życiowej, w której uchwyceniu na gorącym uczynku, pamięć, choćby najwszechstronniejsza, nie dorówna nigdy naturze, świat ten jednak miał swoje piętno indywidualności artystycznej.

Były czasy, gdy obrazy Pillatiego wielkiem cieszyły się uznaniem, przemawiały bowiem harmonją gammy kolorystycznej, sympatycznością treści swojskiej. Pamiętam jeden z większych jego utworów »Biwak wojsk szwedzkich na pogorzelisku«, czuć w nim było artystę oryginalnie swe pomysły wyrażającego.

Zręczność faktury, pewien właściwy muszyk w kładzeniu farby, i łatwość w użyciu środków malarskich stawiały naówczas Pillatiego, na wysokim szczeblu wyrobienia fachowego.

Pillati należał do najruchliwszych artystów przed ćwierć wiekiem. Szybko tworzone obrazy, wciąż zdobiły przybytki sztuk, budząc zainteresowanie u publiczności. Niemniej był on czynnym, jako rysownik do pism obrazkowych. W tysiącu rysunków, jakie prawdopodobnie wykonał, przyszły badacz życia Warszawy mieć będzie nieoceniony materjał. Odtwarzał on na kartach tygodników wszystkie ważniejsze przejawy ruchu i działalności, wszelkie zdarzone wypadki, zmiany, ilustrując ulicę, teatr, wystawy, obchody i uroczystości.

Nerwowa, jakby gorączkowa, działalność Pillatiego, przerwaną została już od lat z górą dziesięciu. Schodził on stopniowo ze stanowiska, usuwał się w cień, gnany ciężkiem widmem rozwijającej się niemocy, która, zabiwszy w nim najprzód artystę, pomału i resztki skołatanego życia wydarła.

H. Piątkowski.



*) »Gazeta Polska« z 18. kwietnia b. r.

JERZY GROT.

DZIEŃ POWSZEDNI.

I.

Jak mi się nie chce otwierać powiek! Wiem, co zobaczę: przedewszystkiem przykra, twarda jasność dnia jesiennego uderzy mię prawie boleśnie w zmęczone oczy; później powitają mnie nieodzowne sprzęty, głupio tkwiące pod ścianami. Nienawidzę tych brudnych ścian, nienawidzę suchotniczego chrypienia samowara, przy którym Jadzia zaparza w kuchni herbatę; nienawidzę stołka, na którym leży ubranie...

Jadzia naturalnie w ruchu od godziny: w okropnym białym kaftaniku i w pasiastej halce. Sprząta, czyści — a wszystko robi bez hałasu, przesuwając się jak cień z twarzą skupioną w sobie. Nienawidzę cichego stąpania jej przydeptanych pantofli, nienawidzę białych kaftaników.

Teraz napewne wygląda oknem, badając, czy Antkowi nie grozi słota w drodze do szkoły. Po co? — Czy ona nie widzi, że jest szary dzień jesienny, że blaszane dachy świecą obrzydliwie, oślizgłe wilgocią, i że, jak okiem zajrzeć, snują się wyziewy, dymy i mgły...

Teraz wchodzi do dzieci i woła z przejęciem:

— Dzieci, wstawać — ósma zaraz!

Po chwili stanie przy mnie — już jest.

— Wstawaj, Józiu, bo zaśpisz, jak wtedy.

Wiecznie jakieś »wtedy«, które mi co rano wypomina!

— Nie śpię.

Może sobie pójdzie? Nie, czuję, że stoi.

— Wstajesz?

— Wstaję.

— Gdzie schowałeś pieniądze?

— Nie schowałem.

— Kiedy w surducie niema.

— To niema.

Chwila milczenia.

— Józiu!?

— Co?

Wiem, co teraz powie. Powie: »cóż ty sobie myślisz«.

— Cóż ty sobie myślisz, Józiu, wczoraj przecie miałeś pięć rubli?

I wiem również, co odpowiem! Odpowiem: »nic sobie nie myślę«.

— Nic sobie nie myślę.

Jadzia znowu milczy. Skaranie z tą śmieszną kontrolą!

— Weź w górnej kieszeni kamizelki.

— Rubel tylko?

— Więcej nie mam.

Jadzia bez odpowiedzi bierze pieniądze, zrzuca cicho stąpające pantofle i kładzie trzewiki. To znaczy, że idzie do sklepiku, chociaż mogła to zrobić Janowa. Sto razy mówiłem, żeby mi sama nie czyściła butów — i zawsze mi na złość wyczyści! Sto razy kazałem, że baba ma chodzić do sklepiku — na złość sama chodzi. Ach, jakże ja nienawidzę tego wiecznego poświęcania się, o które nikt nie stoi! Wszystkich tych cichych cnót i bolejącego oblicza Madonny wobec lada stłuczonej szklanki! A — to trudno...

Dzieci wstają. Właściwie wstaje Antek, na którego, jak Jadzia przed chwilą na mnie, wołam machinalnie:

— Antku, nie marudź, bo się spóźnisz, jak wtedy...

Trzeba wstawać — ale teraz właśnie Antek się myje. Czemu ten Antek taki czerwony, zdrowy ćwik, a Maryjka zawsze bladziutka, jak opłatek?

Żuczek, chodź no tu — przyjdź do tatusia.

Przychodzi cichy, mały żuczek w koszulinie — wypatruje mnie oczkami i uśmiecha się cichutko.

— Czemu ty, maleństwo, takie blade, co?

Będzie z niej druga edycja poświęcającej się Madonny. Jaka ona naprawdę podobna do Jadzi: taki mały uśmiech w kącikach ust. Ona już nawet umie czoło przecierać łapką, jak czasem Jadzia. Dwa biedactwa....

Czemu ja właściwie nie powiedziałem jej, że pieniądze wydałem wczoraj na te przyrządy? Zresztą wszystko mi jedno.

Zegar wydzwania ósmą.

Maryjka podnosi paluszek i mówi:

— Godzinia...

— Tiak — godzinia. Tatuś się będzie teraz ubierał, a Żuczek pójdzie do braciszka.

— A mama ublana?

— Ublana, ublana i zaraz Maryjce przyniesie bułeczki.

Po chwili wraca Jadzia zadyszana — z jakiemiś szczyptami prowizji w białych tutkach. Ten widok zawsze mię nabawia irytacji. Milczy naturalnie, nie racząc zwracać na mnie uwagi, jako na rozrzutnika, który itd. Antek pucuje drugą bułkę, a trzecią jednocześnie pakuje do tornistra. Maryjka już siedzi na wysokiem krzesełku i smętnie czeka, aż mama ostudzi mleczko.

— Lekcje umiesz — pytam Antka.

— Oho, doskonale!

Prawdopodobnie umie, bo ma zamiłowanie do kucia, które jednak załatwia szybko między zabawą, a wieczornem czytaniem Robinsona. Za to smarkacz z Hożej będzie mi zatruwał życie niepojętą tępością i wykrętami. Późno już — ledwie zdążę w milczeniu połknąć herbatę, która parzy jak ukrop.

— Nie mogłaś mi nalać wcześniej.

Żałuję już tego odezwania się, ale Jadzia z cielęcą pokorą odpowiada.

— Przepraszam cię — dziś wszystko trochę później.

Właściwie sam jestem winien, bo nie miała pieniędzy, a mnie nie chciała budzić. Przy wyjściu przypomina mi, żebym wstąpił do redakcji, bo może mają przepisywanie.

— Daj mi spokój — byłem wczoraj i znowu będę latał.

Na nieszczęście od rogu ulicy muszę wracać: zapomniałem przyrządów!

Jadzia spotyka mię z nimi w sieni — prawie jej wyrywam z rąk i pędzę na Hożą.

Gdyby nie słotny dzień, który zagląda przez ogromne okno szkolnego pokoju, gdyby nie to, że zapomniałem papierosów i gdyby, przedewszystkiem, nie rozpaczliwie zaspany głos niedołężnego smarkacza, możebym ostatecznie umiał mniej cierpieć nad jego bąkami, z których się głównie składa t. z. pogadanka.

To, że się spóźniłem o kwadrans, mnie tylko zaszkodzi: będę musiał pędzić na oślep z Hożej na Żabią. Za oknem wtórują lekcji lube dźwięki podwórza czteropiątrowej kamienicy. Co chwila włazi handel — i prawie pod przysięgą malec się zawsze zasłucha w jego wołanie. Później skrzeczącym głosem kościarka kupuje kości. Później następuje chlupanie pompy i plusk wody po asfalcie. A po nad wszystkiem sterczy narożnik kamienicy, niezmiernie głupio przystrojony rogiem obfitości, z którego teraz sączy się brudna woda deszczowa. Druga godzina z dziewczyną przemija szybciej, bo tu już z góry wiem, że nie mam o co pytać — tylko trzeba mówić, mówić, mówić... Panna się obraża, jeżeli ją badam zbyt szczegółowo w drażliwych sprawach trawienia. Zresztą mama z uprzejmym uśmiechem zastrzegła, »że Janina jest tyle pojętną, iż dość będzie, gdy pan zechce tylko wyłożyć swój przedmiot, naturalnie wedle możności »poglądowo«. Rozumie się, że »poglądowo«. Zresztą — wszystko mi jedno, byle bym dziś dostał pensję. Jest to dom bardzo porządny, jak się już przekonałem w licznych terminach, więc punkt o 11. wchodzi pani.

— Czy nie przeszkadzam?

— O, proszę bardzo.

Pani z dystynkcją zwraca się do córki.

— Janino, włóż okrycie, bo zaraz wyjedziemy.

To oznacza, że będzie mała rozmowa pedagogiczna. Pani zagłębia się w fotelu, trzymając niewidocznie dyskretną kopertę. Czuję, jak się podemną pali krzesło: co będzie z lekcją na Żabiej?

— Proszę pana, mam tu wielką prośbę.

— Czem mogę służyć?

Pani wreszcie zdobywa się na odwagę.

— Mój synek młodszy jest już w tym wieku, że pragnęłabym rozpocząć z nim systematyczny kurs. Myślę, rozumie się, o pogadankach. Wiem, że pan głównie udziela starszym dzieciom, ale jednak możeby pan to dla nas zrobił. Mój mąż i ja — pokładamy taką ufność w panu.. Właśnie mąż sam chciał się z panem rozmówić.

Ale naturalnie nie miał czasu. Gdyby nie Żabia ulica, możebym nawet z ciekawością rozmawiał z tą panią typu rządnych i porządnych. Ale tak — szybko załatwiamy się z tem, że owszem zdaje mi się, iż znajdę jeszcze jedną godzinę — chociaż cierpnę na myśl, że to już będzie prawdziwa bezlitośna bakalarka. Następnie, po raz nie wiem który, uspakajam panią, że »dzisiejsza pedagogika uważa przyrodę itd.« Wreszcie »obniżam nieco poziom wymagań«, tj. biorę dodatkowo 10 rs. i wypadam z białą kopertą.

— Na Żabią! C. d. n.



Rozbiory i sprawozdania.

Dr. Fryderyk Papée. Historja miasta Lwowa w zarysie, z 24 illustracjami. — Lwów, 1894. — Nakładem gminy król. stoł. miasta Lwowa.

Praca dr. Papée'go, w nagłówku wymieniona, napisaną została przez autora na propozycję lwowskiej rady miejskiej.

Rzecz swoją podzielił autor na trzy części. W pierwszej, rozpoczynając od opisu krajobrazu lwowskiego, zamknął historję miasta od jego powstania do r. 1527, do upadku średniowiecznego Lwowa, gdy opanowanie przez Turków półwyspu Bałkańskiego i napady tatarskie zrujnowały handel ze wschodem.

Późniejsze wieki historji naszego grodu do r. 1772 obejmuje część druga omawianego dzieła, tak zwana przez autora: średnia epoka Lwowa, gdy miasto przy sprzyjających warunkach znowu się rozwinęło, ale już w nowej, czysto polskiej postaci. Koniec epoki to — upadek Lwowa i zupełny upadek mieszczaństwa, a rozwielmożnienie się żywiołu szlacheckiego.

Dopiero za Stanisława Augusta zajęto się zbadaniem przyczyn upadku Lwowa i poczęto myśleć o środkach zaradczych. Nie doczekał wszakże Lwów Konstytucji 3. Maja, gdyż w r. 1772 przeszło miasto pod rządy austrjackie.

»Wzruszającem szlachetną prostotą swoją — pisze autor — jest pismo, wystosowane przez naszych mieszczan do kanclerza Młodzianowskiego, którem dają wyraz uczuciom swoim w wilją 4. października, gdy rada miejska asystować miała instalacji pierwszego namiestnika austrjackiego. »Królewskie miasto Lwów« — piszą w niem zacni

mieszczanie — »które zawsze niezachwianą zachowało w obec królów polskich wierność, otrzymawszy onegdaj rozporządzenie jen. Hadika, aby wziąć udział przy instalacji cesarskiego »ministra«, wszelkimi sposobami starało się od tego uwolnić — niestety bezskutecznie. Tak więc dnia jutrzejszego to miasto od wszystkich opuszczone, nie bez ciężkiego umysłów przygnębienia, w nakazanym akcie obecnością swoją będzie musiało uczestniczyć! Jednakże czyn ten, samą tylko podyktowany przemocą, stałości miasta tego w zachowaniu nieskazitelnej wiary Najj. królowi polskiemu, panu swemu miłościwemu, w niczem na przyszłość zachwiać nie potrafi«.

Dochował też Lwów tej wiary, jeżeli nie królowi polskiemu, to Rzeczypospolitej, żywy biorąc udział we wszystkich późniejszych ruchach narodowych, jak o tem z omawianej pracy przekonać się można (p. rozdział p. t. Rewolucyjne czasy).

Część trzecia dzieła dr. Papée, do której tylko co wymieniony rozdział należy, opisuje najnowszą epokę historji Lwowa — od r. 1772.

Nie kusił się autor, jak to sam w słowie wstępnem zaznacza, o rzecz oryginalną, opartą na studjach archiwalnych, pragnął tylko »dać przystępny wykład historji Lwowa na podstawie wydanych dotychczas źródeł i opracowań« i, przyznać trzeba, wywiązał się z zadania swego umiejętnie, w dostępny dla szerszego ogółu sposób utwór swój napisał i owiał go ciepłem prawdziwego patrjotyzmu i przywiązania do naszego grodu, piękną w roku wystawy dając mieszkańcom Lwowa pamiątkę.

p.



Przegląd pism.

»Kijewskaja Starina«. — Miesięcznik. — Rok XIII. Luty, 1894. Kijów, str. 192+19+13 w. 8-ki.

Zeszyt niniejszy poświęcony jest po części »Kobzarzowi ukraińskiemu« Tarasowi Szewczence, rocznica śmierci którego obchodzi się właśnie w lutym. Szewczenki dotyczą prace pp. Bielaszewskiego, Rusowa, Lewickiego, A. L. Szugurowa i Storożenki.

Wiadomo, że imię Szewczenki jest bardzo popularne u ludu małoruskiego. Otóż p. M. Bielaszewski zgromadził sporą wiązankę opowiadań włościan ze wsi Piekary pod Kaniowem.

O ile można sądzić z tych opowiadań, Szewczenko-malarz, Szewczenko-artysta bardzo mało lud obchodził. Cała uwaga jego zwrócona była na Szewczenkę-człowieka. Lud ukraiński obdarzył poetę małoruskiego różnemi właściwościami nadprzyrodzonemi i twierdzi, że Szewczenko »łycar duże wełykyj buw«. Jednakże obok faktów charakteru legendowego, opowiadania zebrane przez p. Bielaszewskiego, zawierają pewną ilość wskazówek, mających wartość bijograficzną.

P. Rusow znajomi czytelników z nieznanym dotąd zbiorem rysunków Szewczenki, wykonanych przez niego na zesłaniu. Kolekcja ta obejmuje około trzechset numerów i znajduje się w Charkowie. O. Lewicki opowiada o wycieczkach archeologicznych Szewczenki, odbytych przez niego z polecenia Komisji archeograficznej w Kijowie w latach 1845—1846.

P. A. Storożenko w artykule »Kijów lat temu trzysta« opowiada o biskupie kijowskim Józefie Wereszczyńskim i o jego projekcie uporządkowania Kijowa. Znajdujemy tu dużo szczegółów, dotyczących działalności literackiej tego wybitnego pisarza naszego XVI. w.

Działalności naukowej dra Antoniego J. (Józefa Rollego) poświęciła »Kijewskaja Starina« dwa artykuły. Autor pierwszego z nich prof. Wł. Antonowicz podnosi znaczenie historyka naszego jako popularyzatora wiadomości historycznych o wschodnich prowincjach dawnej Rzeczypospolitej w społeczeństwie polskiem i zaznacza jego zupełną objektywność w traktowaniu faktów historycznych. Prof. Antonowicz powiada, że Rolle był pierwszym (?) historykiem polskim, który wprowadził do historjografji polskiej zwyczaj korzystania z wyników rosyjskiej nauki historycznej i począł zwracać uwagę na materjały, wydane przez rosyjskie uczone towarzystwa i instytucje.

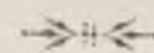
W artykule redakcyjnym znajdujemy kilka szczegółów, charakteryzujących osobę zmarłego historyka. Strata Rollego jest dla nas nader bolesną, niepowetowaną — powiada autor artykułu. — Pomijając już jego prace historyczne, Rolle zasłużył w Kamieńcu na powszechny szacunek jako lekarz i jako filantrop. Ze względu na swą znajomość przeszłości Podola, Rolle był jedynym człowiekiem w Kamieńcu, który na pierwszą prośbę gotów był dać czy to książkę, czy to jaką wskazówkę... Z jaką miłością, z jakiem staraniem, nie szczędząc kosztów zgromadzał książki, dotyczące historji kraju i przedmioty starożytności. Wszystko to z chwilą jego śmierci straciło znaczenie, gdyż rodzina ma zamiar część jego zbiorów sprzedać, część zaś wywieźć za granicę.

W niniejszym zeszycie »K. S.« znajduje się ciąg dalszy jednej z ostatnich prac Rollego »Kobiety na dworze czehryńskim w drugiej połowie XVII. w.

L. Wasilewski.



Z RUCHU LITERACKIEGO.



Dąbrowski Ig. Felka, nowela. Warszawa, 1894, w 8-ce małej, str. 203., 1 rub. 50 kop.

Jabłonowski Alex. Polska XVI. w. pod względem geograficzno-statystycznym, tom IX. i X.: Ziemie ruskie, Ukraina, Kijów, Bracław, — dział I. i II. (Źródła dziejowe, tom XX. i XXI.) Warszawa, 1894, w 8-ce, str. II., 89, 185, 2 nl., XXVI., II. 654, 2 i LI. Po 2 ruble.

Karłowicz Jan. Słownik wyrazów obcego a mniej jasnego pochodzenia używanych w języku polskim, zeszyt I. od A. do E. włącznie. Kraków, 1894, w 4-ce, str. 147, i 4. nl. 2 złr. — 1 rubel 50 kop.

Kowerska Zofja. O wychowaniu macierzyńskiem, wyd. 2. Warszawa, 1894, w 8-ce, str. 332 i III. 2 ruble.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.